

Wydawało mi się, że Graves jest niewzruszony, a jego cierpliwość bez granic – aż do teraz.

– Idźcie – warknął. – Zmykajcie na statek, nim was wybijemy!

Twarz naganiacza pociemniała.

– Obelżywe zwierzę! – powiedział, a potem jego wielka łapa opadła i trzasnęła Gravesa.

Centurion miał uniesiony wizjer, by rozmawiać bez przeszkód. Dostał cios prosto w twarz. Upadł, prawie koziołkując w tył.

Puścili mi nerwy. Wystrzeliłem. Wiązka trafiła naganiacza w szyję, a jego głowa odpadła i plasnęła w piach u jego stóp. Kępki włosów zajęły się ogniem, wypełniając powietrze gryzącym śwędem.

Pozostała trójka rzuciła się do ucieczki. Harris, Leeson i reszta oficerów poderwali się na nogi, nakazując spokój. Nikt już nie wystrzelił.

Nie czekałem na reakcję moich towarzyszy. Podbiegłem do Gravesa, złapałem go pod ramiona i zaciągnąłem pod osłonę skał. Głowa opadała mu bezwładnie – od razu wiedziałem, że ma skręcony kark. Miał trudności z oddychaniem, ale jego oczy odszukały moją twarz.

– Zabiłeś go? – wycharczał.

– Tak – odparłem.

Zaśmiał się i rozkaszłał, ale zdołał jeszcze to opanować.

– Wiedziałem, że to byłeś ty.

Z tymi słowami na ustach umarł.

Spodziewałem się, że Leeson, Harris i cała reszta nie dadzą mi żyć za strzał bez rozkazu – ale dali. Nie ode-

zwali się słowem. Chyba wszyscy tak naprawdę cieszyli się, że to zrobiłem.

Rozejm trwał jeszcze kilka minut. Obserwowaliśmy, jak delegacja chuderlaków znika we wnętrzu statku. Olbrzymy ruszyły w dół ze szczytu ramp. Mioty znalazły osłony, nie łamiąc ciasnego szyku. Wrogowie otoczyli nas, rozstawiając się metodycznie na pozycjach.

– Zbieramy się czy nie? – zwróciłem się do Harrisa.

Wzruszył ramionami. Plany stały się nieaktualne i chyba nikt nie wiedział, co dalej. Szansa na zaskoczenie wroga już dawno minęła.

Adiunkt Leeson podszedł do mnie i przykucnął obok.

– McGill, narwany popaprańcu, mam dla ciebie propozycję.

– Jaką, sir?

Leeson wskazał na zacieśniającą się obręcz wrogich oddziałów.

– Daj się porwać szaleństwu i wyskocz no podziurawić trochę jeden z tych opastych brzuchów. Prawie mi żal tych przerośniętych boroków. Wyglądają całkiem przerażająco, ale to po prostu chodzące tarcze strzelnicze.

Nachmurzyłem się.

– Czy to rozkaz, sir?

– Nie. Ale zawsze odwalasz takie akcje. Miałem nadzieję, że teraz też najdzie cię ochota.

– Dlaczego nie atakujemy?

Jęknął z frustracji.

– Primus Turov uradowała się bardzo, że być może zakończymy konflikt pokojowo. Żywi centurioni prze-

kazali jej co prawda, że negocjacje z naszymi pokracznymi przyjaciółmi upadły, ale ona i tak jakoś nie umie się zdobyć na wydanie rozkazu do ataku. Wciąż ma nadzieję.

Spojrzałem przez ramię. Odległy nasyp, za którym krył się nasz obóz, był oddalony o jakieś dwa kilometry. Wyobrażałem sobie, jak primus siedzi sobie tam wygodnie, podważając każdy nasz ruch tutaj, na linii frontu.

– Pojmuję – odparłem cierpko. – Chce pan, żebym się wyrwał i potem wziął na siebie winę za rozpętanie bitwy. O to chodzi?

– Dokładnie tak.

Odwróciłem się od niego i wymierzyłem działo w najbliższego olbrzyma – ale nie wystrzeliłem.

– Mowy nie ma, sir – powiedziałem twardo. – Bądź mężczyzną i sam se to, kurwa, zrób.

Leeson przeklął mnie i kopnął w głębę z frustracji. Uśmiechnąłem się pod opuszczonym wizjerem.

– Kurwa, McGill. Jesteś jeszcze bardziej wnerwiający, gdy słuchasz rozkazów. Niech ci będzie!

Złapał za broń i postrzelił najbliższego olbrzyma w brzuch. Ładny strzał, musiałem mu przyznać. Idealne trafienie. Tyle że zamiast zostawić dymiącą dziurę i wylewające się wnętrzności laserowy pocisk rozprysnął się w różnokolorowe rozbłyśki.

– Niech mnie diabli – zaklął Leeson. – Olbrzymy mają tarcze.

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo właśnie rozpętało się piekło.

Kiedy mieliśmy dość mocy, każdy z naszych pancery mógł wygenerować słabą tarczę. Nie były one zbyt przydatne w przedłużających się walkach, bo szybko drenowały rezerwy. Nie mogliśmy też ich używać podczas szarży na otwartym terenie, bo wtedy każdy kilowat mocy szedł w nogi.

Choć sami nie korzystaliśmy z tarcz na Świecie Pyłu, przeżyliśmy szok, że przeciwnicy też dysponują taką technologią. Kalmary nie były przegrywami, co jak co. Może i nie mieli wskrzeszarek, ale i tak dysponowali naprawdę zaawansowaną technologią.

Po wystrzale Leesona nastąpiła kilkusekundowa przerwa – a potem chyba wszyscy odpalili wszystko, co mieli.

Olbrzym, do którego strzelił Leeson, patrzył się tępo na swój brzuch. Tarcza nie przepuściła trafienia, tylko iskrzyła lekko. Monstrum dotknęło brzucha, a jego pozbawiona wyrazu twarz rozpalila się gniewem. Uniósł ciężkie działo wbudowane w ramię i zalał nas ogniem.

Skały pękały, a piasek topił się na szkło. Padliśmy płasko, gdy promień energii przetoczył się nad nami –

przeżyliśmy. Kiedy tylko wiązka popłynęła dalej, wymierzyłem i oddałem strzał w stronę wroga.

Leeson się nie mylił. Chciałem spopielić te pokraki i przegonić je z tego świata. Tylko czekałem na okazję. Ale zmęczyło mnie bycie jedynym gościem, który nie cofa się przed drastycznymi krokami, zbierając za to później cięgi. Niech tym razem adiunkt tego zakosztuje.

– Zrobić miejsce! – ostrzegłem żołnierzy wokół mnie. Działa plazmowe miały potężny odrzut gazów i niejeden legionista dał się przysmażyć, przebiegając za bombardierem w nieodpowiednim momencie.

Moja wiązka nie uderzyła w olbrzyma. Za cel obrałem sobie pomioty u jego stóp. Jednemu przywaliłem prosto w klatkę, spopielając jego pancerz i rzucając nim o rampę. To był najlepszy jak dotąd moment dnia.

Pozostali od razu wpadli w szal i zaszarżowali. To wystarczyło, by nasi oficerowie w końcu zmienili płytę. Dotąd darli się, by wstrzymać ogień – wszyscy poza Leesonem. Szybko im przeszło, gdy zobaczyli nawiedzoną ciężką piechotę sadzącą wściekłe susy przez łąkę piachu w stronę naszych prowizorycznych umocnień.

Nagle powietrze rozbłysło błyskami laserów, między którymi świszczały nieliczne cięższe pociski. Nasi strzelcy raketowi wyszli z za osłony skał i wymierzili tam, gdzie ja.

Olbrzym, od którego zaczęła się cała ta walka, mocno oberwał. Jego tarcza się zapadła wśród ciemnopomarańczowych rozbłysków. Impet uderzenia odrzucił go na glebę – ale twarżel szybko się pozbierał. Zatkano mnie. Skoro bezpośrednio trafienie z przenośnej

baterii raketowej nie zabijało tych gości na miejscu... będzie się działo.

Wszystkie dziewięć oddziałów ruszyło już do walki. Większość z nich wciąż maszerowała niespiesznie w szyku – jakby się na spacer wybrali. Strzelali okazjonalnie, trafiając głównie w głowy. Nawet gdy jakiś zbłąkany strzał dosięgał jednego z naszych, miał ledwie połowiczną skuteczność.

Ale my wciąż zalewaliśmy ich ogniem, więc w końcu w każdej z dziewiątek kogoś trafiliśmy i reszta przewidywalnie wpadała w bitewny szal. Nim napastnicy zdołali nas dosięgnąć, wybiliśmy większość z nich. Niedobitki docierające do naszych umocnień rozpętywały szaleńcze pojedynki na ostrza, w których żołnierze obu stron padali rozcięci w pół i wybebeszeni.

Podniosłem się i waliłem z działa bezpośrednio, z bliska. Sprzątnąłem szarżującego na mnie berserkera, który padł u moich stóp tłącym się zadkiem do góry. Nie miałem czasu sobie pogratulować, bo niebo jakby pociemniało. Spojrzałem w górę. Jeden z olbrzymów wspiął się właśnie na moją górkę kamieni. W jedynej dłoni trzymał potężny miecz. Widziałem go wcześniej w akcji – to było jak cięcie ostrzem wielkości samochodu. Kończyny odpadały, a żołnierze wyli obłąkańczo.

Działo olbrzyma przeczesywało metodycznie nasze umocnienia, popieląc odczołgujących się żołnierzy. Uśmiechał się głupio, ciesząc się rzeźnią. Jego tarcza iskrzyła jak w deszczu, odbijając mnóstwo lekkich trafień.

Wycofując się chwiejnie, potrząsałem działem i kłębem. Czas przeładowania wydawał się wiecznością, gdy

właśnie stawało się oko w oko ze śmiercią. W końcu doczekałem się zielonej diody i zarzuciłem działo na ramię. Jakimś sposobem olbrzym wyczuł, że zaraz go sprzątnę. Jego miecz poszybował w moją stronę i...

Czas się jakby zatrzymał. Miałem wrażenie, że bezskutecznie naciskam spust przez kilkanaście długich sekund. W końcu komora opustoszała, wypuszczając w eter strugę czystej energii. Wystrzeliłem.

Uderzenie działa plazmowego jest inne niż strzał z pistoletu laserowego. Ale i tak myślę, że efekt byłby słabszy, gdyby nie to, że olbrzym świeżo oberwał rakieta. Te ich tarcze były dość wrażliwe i wymagały kilku minut po mocnym uderzeniu, by się ustabilizować i przywrócić pełną integralność.

Pole siłowe się zapadło i moja wiązka się przebiła. Przytrzymałem spust, ignorując błyskające kontrolki przeciążenia i przegrzania. Musiałem podtrzymać wiązkę energii do skutku.

Puściłem spust dopiero, gdy klata olbrzyma zamieniła się w dymiące pogorzelisko. Zatoczył się w tył, siejąc popłoch wśród moich towarzyszy, którzy zakradali się, by podciąć mu ścięgna podkolanowe. Nie dałem im szansy. Olbrzym był trupem, zanim jeszcze jego ciało zważyło się na ziemię.

Ciężka dłoń klepnęła mnie w ramię.

– Dobra robota, McGill – pochwalił mnie Harris.

Leeson podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się trupowi.

Szarża wroga się załamała i wybiliśmy ich do nogi. Sami straciliśmy jakichś pięćdziesięciu żołnierzy.

– Wskrzyszarki nieźle się dziś napracują – mruknąłem.

Leeson potrząsnął głową z powagą.

– Niestety nie. Wróg przejął maszynę.

– Że co?! – Harrisowi aż załamał się głos.

– Dokładnie to. Pamiętacie tę latającą platformę? Kolejna przyszpiliła nasz obóz kilka minut temu. Pewnie dlatego wróg nas otoczył i czekał. Wyglądało na to, że dokładnie wiedzieli, gdzie uderzyć, i zaatakowali od razu bunkier medyczny.

– Sir – zaczął Harris, wyraźnie zaniepokojony – ale jesteśmy chyba zsynchronizowani z innymi dolinami? Właśnie straciliśmy mnóstwo ludzi. Nie możemy ich wszystkich wysłać na permy.

Leeson spojrział na niego poważnie.

– Proszę się nie martwić, weteranie. Na pewno techniczni już nad tym pracują. A my tymczasem porozmawiajmy o przejęciu tego statku.

Wskazał na ziejące otwory wejść. Rampy wciąż były rozłożone. Wnętrze wyglądało na przepastne i mroczne.

– Nie powinniśmy poczekać, aż wskrzeszarki...

– Nie – uciął Leeson twardo. – Zaraz ruszamy. Graves nie żyje, więc przejmuję dowodzenie nad tym, co po nas zostało. Nie ma czasu na przegrupowanie. Musimy iść za ciosem.

Harris zaczął się spierać, ale ja rozumiałem, o co Leesonowi chodzi.

– Zgadzam się, sir – odparłem szybko. – Kalmary mogą zmądrzeć i lada moment zatrzaskać włazy.

Leeson przytaknął.

– Trzymaj, McGill.



Podał mi nowe działo plazmowe. Przez chwilę kompletnie nie rozumiałem, czemu mi je daje, ale szybko się zorientowałem, że na moim wszystkie kontrolki świecą na czerwono. Przy ostatnim ataku przeciążyłem broń na dobre. Naprawienie jej zajmie technicznym długie godziny, o ile w ogóle im się to uda. Nowe działo było powginane tu i ówdzie, ale wyglądało na sprawne.

– A to skąd się wzięło? – zapytałem.

– Sargon zginął, dzierżąc je w dłoniach – odparł Leeson. – Z pewnością się ucieszy, wiedząc, że jest teraz twoje.

Nie byłbym taki pewien, ale i tak wzięłem nową broń. Podłączyłem ją do zasilania, wrzuciłem nowy magazynek i pokazałem Leesonowi uniesiony kciuk.

– Biegiem, ludzie! – krzyknął Leeson. – Naprzód!

Harris i ja ruszyliśmy w stronę najbliższej rampy. Po zostali dwaj centurioni prowadzili swoje drużyny w tę samą stronę. Szacowałem, że ostało się nas może ze dwie setki.

Zastanawiałem się, co się dzieje w obozie. Skoro obcy zaatakowali i zabili biosów, nie mieliśmy co liczyć na posiłki.

Rampa okazała się tak ogromna, że wyglądała wręcz nierealnie. Miała dobry metr grubości i była wykonana z czystego, czarnego metalu. Kadłub był zwarty i jednolity.

– Co za gówno – narzekał Harris. – Totalne gówno! Powinniśmy się wycofać i utrzymywać pozycje aż do przybycia posiłków.

– Mogliby zamknąć się na statku do tego czasu, weteranie – przypomniałem mu.

Harris jakby mnie nie słyszał.

– Do diabła, mogliby ich podrzucić barkami z innych dolin – zrzędził. – Jeśli trybun chce wygrać tę walkę, mógłby zarządzić to od zaraz. Nie nadążam czasami za wierchuszką. Naprawdę nie nadążam.

Harris ciągnął swój monolog przez całą wspinaczkę po rampie, póki nie zanurzyliśmy się w czeluści statku. Oczywiście wiedziałem, o co tak naprawdę mu chodzi. Lubił śmierć jeszcze mniej niż cała reszta. Dodatkowo sam pomysł umierania bez wskrzeszarki czekającej na nas w obozie – no cóż, dla członka Legionu Varus było to z gruntu złe. Wycieczka na permy to propozycja dla jakichś złamasów, a nie dla kogoś z nas.

Gdy wdrapaliśmy się na szczyt rampy i weszliśmy do statku, otoczył nas chłód i mrok. Za nami spieszyło jeszcze mnóstwo żołnierzy, ale chyba każdy zwalniał, ledwie tylko wszedł do środka. To było silniejsze od nas.

Statek był... inny. To się czuło. Mieliśmy głębokie poczucie, że nasze małe ludzkie zadki zupełnie tu nie pasują. Jednostkę stworzyły istoty prawdziwie obce – tak całkowicie i totalnie różne od nas, że nie rozpoznawaliśmy właściwie żadnych znajomych cech na odległych ścianach czy wysokim sklepieniu. Żadnych znaków, świateł, błyskających symboli.

Za to na podłodze dostrzegłem wydłużone smugi migoczących refleksów.

– Czy to jakieś pismo? – spytałem Harrisa.

Zmarszczył brwi, przyglądając się smugom.

– Wygląda to jak różnorodne metale zmieszane razem.

– To chyba trochę bardziej złożona sprawa. – Zastanowiłem się. – Ten metal się mieni, przyjmuje różne odcienie srebra i ciemnej szarości złączone w płynnie zmieniających się pasmach.

– Wiem, jak to, do diabła, wygląda! – wkurzył się Harris. – Biegnę obok ciebie, jakbyś nie zauważył. Ślepy jestem czy co? Zapomnij o pieprzonej podłodze, McGill. Skup się na przeciwniku.

Miał trochę racji. Uniosłem wzrok i wbiłem go w przepastne, mroczne korytarze, którymi zagłębialiśmy się we wnętrze statku. To było dziwne miejsce. Miało w sobie coś klaustrofobicznego, choć było niewątpliwie kolosalne.

– Opary – zauważyłem, machając ręką w powietrzu, które zdawało się oblepiać nas niczym nieprzejrzysty, srebrzysty dym. – Atmosfera tutaj...

Urwałem, słysząc chrapliwy pisk. Obróciłem się, sprawdzając, kto wpadł w kłopoty. Żołnierz padł na ziemię od razu za mną. Skrzywiłem się, rozpoznając Kivi.

– Cofnąć się, niech ma trochę powietrza – huknął Harris.

Widziałem jej twarz pod uniesionym wizjerem. Była w agonii.

– Nie! – krzyknąłem. – Zamknijcie jej wizjer! Nie potrzebuje powietrza, tylko uszczelnionego hełmu!

Harris szybko zrozumiał, o czym mówię. Zamknął pospiesznie wizjer dziewczyny. Widziałem, jak wije się w agonii. Było już dla niej za późno.

– Leeson! – zawołałem. – Nanity, sir! Otaczają nas chmury nanitów. Myślę, że są osadzone w podłodze i aktywują się pod naszym ciężarem. Uszczelnijcie wszystkie wloty i hełmy!

– Wykonać! – huknął Leeson.

Sześciu kolejnych ludzi padło, nim wszyscy zabezpieczyliśmy pancerze. Podczas gdy żołnierze uwijali się, próbując pomóc towarzyszom, ja podkręciłem broń, ustawiając najszerszą możliwą wiązkę. Wystrzeliłem testowo w powietrze. Leeson od razu się mnie uczeplił.

– Coś zobaczył? – dopytywał, wbijając spojrzenie w mrok.

Wskazałem na pokład.

– Widzi pan ten drobny pył? To martwe nanity. Wyglądają trochę jak grafitowy miął.

Leeson wpatrywał się w przysypaną podłogę. W końcu zrozumiał i przekazał innym to odkrycie. Dalej maszerowaliśmy już w zmienionym szyku, z bombardierami na przodzie smagającymi każdy centymetr powierzchni i nawet powietrze przed nami szerokimi wiązkami energii. Niestety, pożerało to zbyt wiele mocy. Musieliśmy się wycofać.

Spojrzałem tęsknie przez ramię na otwarte wrota za nami. Na zewnątrz świeciło słońce.

– Za daleko żeśmy nie zaszli – stwierdziłem. – Te nanity są pewnie jak psy stróżujące, odróżniają swoich od obcych.

Leeson konsultował się z centurionami. Nie byli pewni, co robić dalej.

Wyszedłem na zewnątrz i stanąłem na szczycie rampy, rozglądając się. Wkrótce dołączył do mnie Harris.

– Jeden wielki burdel – oznajmił i musiałem się z nim zgodzić. – Spójrz tam! To ci twoi koloniści. Muszą mieć z nas niezły ubaw.

Zaskoczony popatrzyłem, gdzie wskazywał. Miał rację. Kilku zwiadowców kryło się wśród skał, skąd niedawno wymaszerowaliśmy.

– Są zaskakująco śmiali, zważywszy naszą obecność – powiedziałem. – Mógłbym z nimi porozmawiać?

– Proszę bardzo – zezwolił Harris. – Tylko nie wskakuj za nimi do którejś z tych mysich dziur. Nie będę cię krył.

Jego oświadczenie zbiło mnie z tropu. Nie przypominałem sobie, żeby Harris kiedykolwiek mnie krył – albo kogokolwiek innego.

Podszedłem spokojnie do kolonistów z bronią przewieszoną przez plecy. Obserwowali mnie bez zainteresowania. Nikt nie pomachał ani się nie przywitał. Przypuszczam, że i tak było nieźle, bo przynajmniej nie ostrzelali mnie z kusz.

Gdy byłem już bliżej, zauważyłem, że są wyposażeni do walki. Nie byli prawie nadzy jak zazwyczaj w tunelach czy na polowaniu, lecz nosili czarne, luźne ubrania. Twarze pokryli farbą chłodzącą, która maskowała ich sygnatury cieplne. Trzymali broń luźno, ale wiedziałem, że są w gotowości do ataku.

– Witajcie! – zawołałem, gdy podszedłem na jakieś dziesięć metrów. – Moglibyście nam pomóc?

Popatrzyli po sobie zdezorientowani. Chyba rozpoznałem jednego czy dwóch. Miałem nadzieję, że Della będzie wśród nich, ale niestety.

– Znaleźliśmy na statku wrogie nanity – powiedziałem. – Są wszędzie i zabijają naszych żołnierzy, jeśli zapędzimy się zbyt głęboko.

Jeden z kolonistów wyszedł do mnie zza osłony skał. Był niewysoki, ale potężnie zbudowany. Miał szerokie, muskularne ramiona i pewną postawę.

– Te nanity nie należą do nas – oznajmił.

– Tak, to wiemy. Ale wiecie, jak je dezaktywować? Minać je?

– Tak – odpowiedział. – Musicie zdjąć całe wasze wyposażenie. Znajdźcie kajdany i załóżcie je sobie na oba nadgarstki. Skrzyżujcie ręce, by pierścienie się złączyły i już nigdy nie puściły. Kiedy będziecie nadzy i bezbronni, nanity przepuszczą was, byście mogli poznać waszych nowych panów.

Nie podobało mi się ani jego wyjaśnienie, ani podejście. Pokiwałem głową.

– Wielkie dzięki za tę cenną informację. Szkoda, że nikt z was nie jest dostatecznie odważny, by wejść na statek, ani dostatecznie sprytny, by rozpracować nanity. Nie martwcie się, odwalimy tę robotę za was. Wracajcie i pochowajcie się w waszych dziurach. Jeszcze się nabawicie oparzeń słonecznych albo jakiś owad was ukąsi... Nie chcielibyśmy tego dla cywili.

Uśmiech na twarzy niskiego mężczyzny zgasł. Najwyraźniej zrozumiał, że go obraziłem. Poczułem się nieco szczęśliwszy.

Gdy się odwróciłem, zawołał mnie.

– Jak nas nazwałeś? Co to jest cywil?

– Osoba cywilna. Niewojskowy. Ktoś, kto musi być chroniony przez prawdziwych żołnierzy.

Koloniści spoglądali po sobie. Wszyscy spochmurnieli.

– Jestem zwiadowcą – oznajmił niski facet. – To moja drużyna. Nie jesteście cywilami.

Roześmiałem się nieprzyjemnie.

– Serio? No to zapraszam z nami na statek, skończymy razem tę walkę. Zbieraj się albo zamknij się... cywile.

Odwróciłem się na pięcie, nie oglądając się za siebie. Nie znosiłem takich gości – pyskatych, aroganckich gapiów, którzy narzekali za twoimi plecami, ale nie mieli jaj, żeby podjąć walkę.

Harris przyglądał mi się ciekawie, gdy wróciłem na rampę. Leeson również do nas dołączył. Wskazując za moje plecy, spytał:

– Zechcesz nam przedstawić swoich nowych przyjaciół?

Odwróciłem się zaskoczony. Koloniści jednak za mną przyszli. Nie wyglądali na szczęśliwych, ale byli zdeterminowani. Było ich siedmiu. Ich oczy omiatały z obawą wnętrze statku. Byłem pod wrażeniem ich odwagi, bo dla nich ten statek był wysłannikiem piekiel.

– Tak – odparłem. – To są wojownicy. Zwiadowca i jego drużyna. Jak ma pan na imię, sir? – zapytałem niskiego gościa.

– Alders – odpowiedział. – Mam na imię Alders.

– Zwiadowca Alders – zwróciłem się do Leesona. – Najtwardszy spośród wojowników kolonii. Proszę o nich myśleć jak o lokalnych przewodnikach.

Harris i Leeson spoglądali na kolonistów podejrzliwie. Alders z kolei aż urósł z dumy po mojej prezentacji.

– Gdzie jest Badacz? – spytał Leeson. – Skoro pomagacie nam wy, to co on robi?

Alders wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiecie? Sądziliśmy, że z waszym instrumentarium... no cóż, nie ma to znaczenia. Powiem wam zatem teraz: Badacz uziemił ten statek.

Leeson wytrzeszczył oczy.

– Jak?

– Manipulując polami. Statek używa dwóch spodków do przyspieszania w polu grawitacyjnym planety. Z pewnością dostrzeżecie je na każdym jego krańcu.

Przytaknęliśmy, słuchając uważnie.

– Te spodki generują pole siłowe otaczające statek, ale także go napędzają. Zakłóciliśmy te emisje, zmuszając statek do pozostania na powierzchni planety. Od lat przygotowywaliśmy się na ten dzień i już byśmy przejęli ten statek, gdyby nie wasze przybycie i wtrącanie się!

– Coś za bardzo się przechwalasz, karzełku – sarknął Harris.

Leeson pospiesznie trzepnął go dłonią w pierś. Ucieszyło to moje oczy.

Kilka rzeczy wskoczyło na miejsce, gdy zrozumiałem, co powiedział właśnie Alders. Dotarło do mnie, że statek faktycznie powinien był już odlecieć.



– Gdybym był kapitanem tego statku – powiedziałem – to widząc wrogie oddziały pchające mi się na pokład, od razu bym odleciał.

– Dobrze zatem – zwrócił się do zwiadowców Leeson. – Robicie swoje. To wspaniale. Jak moglibyście nam pomóc przejąć ten statek?

– Alders i jego drużyna pomogą nam ominąć nani-ty-stróże – odpowiedziałem za nich.

– Tak – poparł mnie Alders. – Możemy to uczynić... jak sądzę.